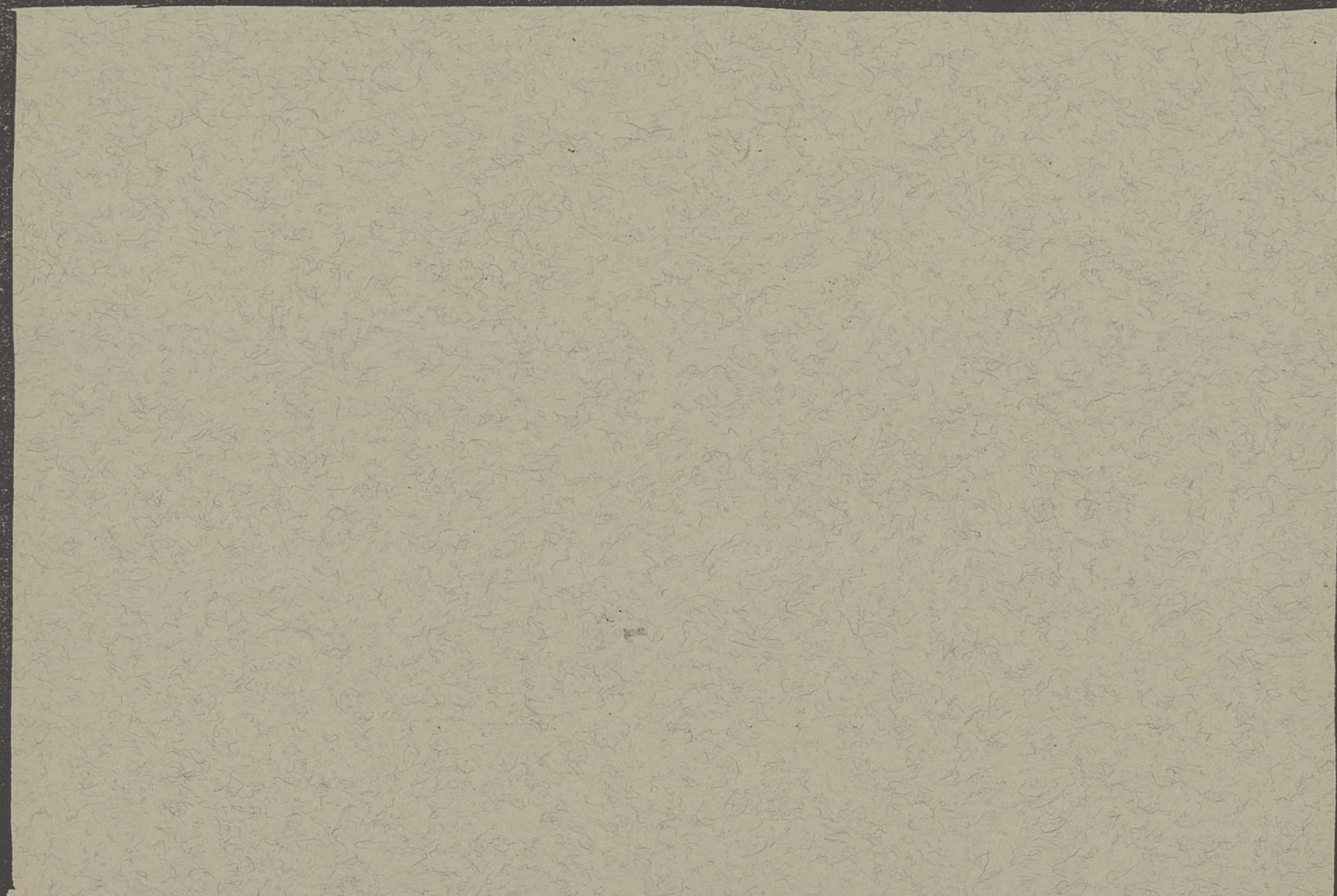
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena podwójnego numeru 30 gr.

PAX



PISMO MŁODYCH KATOLIKÓW

NR 7-8 WRZESIEŃ – PAŹDZIERNIK 1933 R.

ROK I — NR 7-8
wrzesień
październik
1933



MIESIĘCZNIK
MŁODYCH
KATOLIKÓW
WILNO

Treść numeru:

Bezpłatny dodatek: Przekrój U. S. B.

Warunki prenumeraty:

bez przesyłki		*z przesyłką*	
półrocznie . .	**zł. 1.—**	**półrocznie . .**	**zł. 1.10**
rocznie . . .	**zł. 1.90**	**rocznie . . .**	**zł. 2.10**

Cena pojedyńczego numeru 20 groszy

Redakcja i Administracja: Wilno, Uniwersytecka 9—9. Konto P.K.O. 144.229

Redakcja i Administracja czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18—20.

Za P. A. K. S. (Porozumienie Akademickich Katolickich Stowarzyszeń) — Leokadja Małunowiczówna

ROK I — NR 7-8
wrzesień
październik
1933



MIESIĘCZNIK
MŁODYCH
KATOLIKÓW
WILNO

Stanowisko polityczne Norwida.

Stanowisko polityczne Norwida należałoby nazwać ponadpartyjnem. Nie bezpartyjnem — lecz ponadpartyjnem. Bezpartyjność jest to bierny, egoistyczny stosunek do polityki, — ponadpartyjność zaś może być aktywna w działaniu, a zawsze jest aktywna w myśleniu. Bezpartyjność może nawet nie rozumieć, nawet nie znać zupełnie partyj, od których się odsuwa. Ponadpartyjność polega na zrozumieniu partyj, na ujmowaniu i ocenianiu doktryn i programów partyjnych ze stanowiska jakiegoś ogólniejszego, np. ze względu na dobro państwa, narodu, postępu intelektualnego lub moralnego ludzkości, rozwoju prawa Bożego wśród ludzi i t. d. Bezpartyjność jest zupełnem odseparowaniem się od życia partyj politycznych, — ponadpartyjność nie wyklucza udziału w ich pracach, wyklucza tylko bezwzględne, bezkrytyczne podporządkowanie się doktrynie lub programowi.

O Maćku nad Maćkami z „Pana Tadeusza" Mickiewicz powiada, że „zmienił partyj tak wiele" dlatego, że „tam szedł, gdzie ojczyzny dobro upatrywał". To samo da się powiedzieć o Norwidzie z tem zastrzeżeniem, że dobro ojczyzny pojmował on swoiście i daleki był od utożsamiania go z zyskiem materjalnym i ze zdobyczami politycznemi. Największą na świecie wartość, według Norwida, posiada prawda, jawiona w czynach jako dobro, a w sztuce, jako piękno, dlatego też dobro ojczyzny polega przedewszystkiem na postępie prawdy w narodzie.

„Głosem Narodu jest harmonja ojczysta, mieczem — jedność i zgoda, celem — prawda", — pouczał dwudziestopięcioletni Norwid emigrantów polskich w Brukseli w szesnastą rocznicę powstania listopadowego na uroczystym tej rocznicy obchodzie. Nie wiadomo, ilu ze słuchaczy przejęło się i na jak długo tym głównym, według poety, celem narodu: prawdą. To jednak wiadomo, że sam prelegent wierny został temu celowi do śmierci i służył mu tak bezwzględnie, z taką niezachwianą konsekwencją, że jego wpierw przyjaciel a potem antagonista: Zygmunt Krasiński, nazwał go „pedantem samego siebie".

Niema bodajże utworu Norwida, począwszy od roku 1848, w którym to czasie rozbudziły się w nim wyraźne zaciekawienia społeczne, niema powiadam utworu o treści społecznej, w którymby poeta nie zaczepił wszystkich partyj. Powstaje on, a raczej krytycznie się odzywa jednocześnie o lewicy i o prawicy. Ot weźmy choćby jeden z najwcześniejszych utworów „Pieśni społecznej cztery stron". Jedna z części jest zatytułowana: Własność. Już sam tytuł drażni. W owym już czasie od lat kilku istniały i były bardzo poczytne dzieła Proudhona, który własność uważał za kradzież, a obóz mu skrajnie przeciwny za nienaruszalną świętość, nie ulegającą żadnej reglamentacji. Tymczasem wywody wierszowe Norwida zmierzają zarówno przeciwko jednym, jak i drugim. Według niego posiadanie mienia materjalnego nie powinno szukać uprawnień w przyczynach, ale w celu. Należy stawiać pytanie, nie na jakiej zasadzie posiadamy to lub owo: lecz w jakim celu posiadamy? Z tego stanowiska ujmując zagadnienie, Norwid wnioskuje, że posiadanie jest rzeczą „niewinną" wtedy, gdy właściciel „działa przez nie", to jest gdy uważa je za środek do pracy twórczej i postępowej, kiedy nie zużywa mienia swego dla celów wyłącznie osobistych, egoistycznych. Jeżeli tak nie jest, posiadanie nie jest wówczas rzeczą „niewinną". Oczywiście taki pogląd daje podstawy do wysnucia wniosku o konieczności reglamentacji posiadania. Pomimo to nie idzie Norwid ku obozowi przeciwnemu, zatrzymuje się w pół drogi, aby stwierdzić, że i ten co nic nie ma, „ale służy u sąsiada" poto wyłącznie, „by sam tylko jadał", nie jest bynajmniej ideałem. Ideałem jest dlań ten, który tak posiada „jakby nie posiadał", to jest ten, który nie korzysta z przywilejów posiadania, spełniając, jak powiedzieliśmy wyżej, obowiązki związane z posiadaniem.

Posiadanie inne, egoistyczne, jest zdaniem poety niebezpieczne przedewszystkiem dla tych, którzy posiadają.

„Własność żądzą i szaleństwem
Zniszczyć się jest w stanie,
A zaspanem bezpieczeństwem (jest)
Głupie posiadanie".

Jak w poglądzie na własność, tak i w innych sprawach spornych poglądy Norwida ważą się między prawicą a lewicą, — między konserwatyzmem a prądami, które dziś nazwalibyśmy ogólnie socjalizmem, a w innych wypadkach demokratyzmem. Naogół Norwid był demokratą, — nawet liberum veto, idąc za Słowackim w tym wypadku, pochwalał, — ale obok tego nie zawaha się i takich słów wypowiedzieć... „sejm, gdy się w dystrybucji i formach słowa uprywatni, można odesłać do domów — bo to będą już nie symbole, ale prywatni jegomoście i ci pójdą do domów. Nie o obskurantyzmie ja tu mówię, ale o akcji, która jest nerwem prawdy i bez której prawda nie może żyć". (O Słowackim. Lekcja III).

Od czasu uchwalenia „deklaracji praw człowieka" wszelkie ruchy rewolucyjne zaczynały się i odbywały się w imię praw człowieka. Tak samo się rzecz miała i w obozie Mierosławskiego, który w pewnym okresie czasu uważał Norwida za swego i raz po raz zwracał się do niego z różnemi sprawami. Norwid ostro krytykował go i jego obóz, wytykając, że mają program, ale bez idei. Gdy tedy w jakiemś programowem przemówieniu,

czy też w liście prywatnym przeczytał hasło walki o prawa człowieka, odpisał tak: „Ażeby zreformować nietylko rewolucjonistów naszych, ale wogóle europejskich, trzeba poprostu avoir l'audace de la simplicité i zapytać: Szanowni bracia, przepraszam was, ale postawcie nam jasno i w sposób wytrzymujący zarówno krytykę myśli jak praktyki, co rozumiecie być prawem człowieka. Otóż zawsze zostaje (to) tajemnicą dyplomatyczną, którą przez grzeczność się omija i nikt nie jest w stanie być dość maleńkim demokratą, ażeby śmiał tak elementarną kwestję zadać".

Sam Norwid miał na to pytanie odpowiedź, ale wiedział, że ta nie będzie przyjęta przez obóz radykalny. Zdaniem poety, prawo człowieka polegało na tem, by go nie krępowano wtedy, gdy pracuje i tworzy, gdy działa i kroczy w kierunku moralnego i intelektualnego postępu świata. Będąc naturą wysoce moralną, mając nadzwyczaj czułe sumienie, sam poeta nigdy nie miał kłopotu z określeniem tego kierunku. Jemu zbędne były programy i klauzule prawne, określające co jest godziwe, a co niegodziwe, co słuszne, a co niesłuszne, co dobre a co złe. Jemu to wszystko dyktowało na poczekaniu sumienie. Mniemał tedy, że za program polityczny wystarczy jedno hasło: „Przepalić cały glob sumieniem!" Całe zakłamanie się współczesnego świata, wszystkie jego zło, klęski i niepotrzebne a uciążliwe prace, wszystkie krzywdy wynikały, zdaniem Norwida, z tego, że „nie ma taki minister portfelu, któryby wiedział, co jest gniewem Bożym". (Fulminant).

...„gniew ów Boży wybuchnie koniecznie,
Aż gdzieś kruszcową wyszczerbi koronę,
Zaświta *wszystkim stanom* obosiecznie,
Posady wstrząśnie skłamanych wpierw gmachów,
Strach z śmiechu robiąc, lub śmiechy ze strachów"
(Ibidem).

Tak tedy wszystkim stanom obosiecznie groził poeta gniewem Bożym. To też wszystkie stany zwróciły się przeciwko niemu. Narzekano, że nie jest ani arystokratą, ani demokratą (Promethidion). Dziwiono się „Zwolonowi", widząc tam i regalistyczną i rewolucyjną partję oświetlone ujemnie. Czego właściwie chce autor? z kim trzyma? kogo popiera? kogo zwalcza? Nie mogło się w głowie pomieścić politykom ówczesnym, że ktoś, mieszając się do spraw politycznych, nie trzyma ani z arystokracją, ani z demokracją, że nie kieruje się względami na interes ekonomiczny, czy na wpływy polityczne jakiejkolwiek warstwy społecznej, że łączy prawo Boże i sumienie z polityką, gdy tymczasem, zdaniem np. takiego Klaczki, polityka i ekonomja były za brudne a religja za eteryczna na to, aby te dziedziny ze sobą sprzęgać.

Pomimo wstecznych prądów Norwid w dążeniach do oparcia wszelkiego życia społecznego o sumienie i prawa Boże nie ustawał. Charakterystycznem jest jego usiłowanie, aby podczas powstania styczniowego wprowadzić nieznane naonczas wyczyny humanitarne: międzynarodową pomoc sanitarną na placu boju, prasę informującą świat o wypadkach i oświetlającą fakty ze stanowiska bezwzględnej sprawiedliwości, trybunał międzynarodowy do rozstrzygania spraw spornych i t. p. Był to głos wołającego na puszczy. Nie wiemy nawet, czy wodzowie, do których listy kierował, odpowiadali mu na te projekty, które najprawdopodobniej brali za nierealne majaczenie entuzjasty.

On jednak nie ustawał, pisał coraz więcej. Ostatnie lata jego życia były najbardziej twórcze. Mimo kilkakrotnego masowego palenia jego rękopisów, to przez ciasnych i podejrzliwych bigotów, to przez niedbałych powinowatych, dochowało się jednak tyle, że i z tego ostatniego okresu życia, spędzonego w przytułku dla ubogich, wyłania się wyraźna sylwetka poety i jaśnieje jego oblicze polityczne wierne zasadom powziętym zamłodu.

Pisze nie dla rozrywki, ani dla zarobku, ani też muzom i sobie. Czyni to, co zapowiedział w Promethidionie. „Słowo jest czynu testamentem. Czego się nie może czynem dopiąć, to się w słowie testuje". „Nie książek, ale prawd" światu potrzeba. „Pisać trzeba tylko procent od życia", — pisał kiedyś do Marji Trembickiej. Życie miał długie, wiele przemyślał, wiele przecierpiał, wiele przepracował, — nic tedy dziwnego, że i procent uzbierał się pokaźny.

Dr. Władysław Arcimowicz.

Jak to w Legaciszkach było...

Różni ludzie różnie mówią o Legaciszkach. Nic w tem dziwnego: de gustibus non est disputandum. Niektórzy twierdzą, że można tam spędzić czas „morowo", inni ciskają gromy na panujące zepsucie; jedni pragną spędzić tam cały sezon, inni mówią, że tak nisko jeszcze nie upadli, by przebywać w t a k i c h Legaciszkach.

Zdaje się, że narazie trudno uważać Legaciszki za „miejsce idealnego spędzania wakacyj", jak powiada „Dzien. Wil.", bo panująca tam atmosfera zostawia dużo jeszcze do życzenia. Oczywiście Zarząd ma tu zadanie niełatwe. Trudno np. zapobiec temu, by kuracjuszka nie przyjmowała u siebie w nocy panów, trudno wyperswadować paniom, że pyjamy i szlafroki nie są strojem odpowiednim przy wspólnych posiłkach i że nie wypada grać na boisku w kostjumach kąpielowych; nadzwyczaj trudno jest zapobiec, by jakaś para nie błąkała się w nocy po lesie legaciskim, lub żeby ludziska nie urządzali sobie „ognisk" nocnych z „popojką", albo zabronić panom upijać się „prywatnie" u siebie w pokoju lub w pobliskiej wsi, albo czy można zabronić opowiadania wyuzdanych anegdot i kawałów. Trudno wogóle nakazać ludziom, by się zachowywali przyzwoicie czyto w czasie „ognisk" wieczornych, czyto podczas „seansów spirytystycznych". Trudno — ale, przy odpowiednim zespole ludzi, wykonalne. Zarząd przecież musi nadawać t o n, wprowadzać pewną atmosferę. Były jednak ostatnio fakty, za które ponosi już odpowiedzialność Zarząd. Przedewszystkiem zbagatelizowana została sprawa mszy św.: parę razy nie było jej, choć ksiądz mógł przyjechać. Wprawdzie ksiądz był proszony na początku sezonu o odprawianie mszy św. przez całe lato — ale trzeba było dopilnować tego, dołożyć wszelkich starań, by katolicy mogli spełnić swój obowiązek religijny. Zarząd powinien też więcej dbać o opinję Legaciszek. Chyba fakt, że w ambulansie znajdowało się pudełko z etykietką „środków intymnych", co się rzucało w oczy i dawało powód do krążenia różnych dowcipów na ten temat — nie naprawia i tak nadwerężonej opinji o Legaciszkach.

Dużo też tematu do „gadania" dostarczały śmiechy, piski i hałasy, które się słyszało często w nocy. Nie robi też renomy Legaciszkom fakt, że często na terenie kolonji znajdowali się ludzie pijani. Wszystkie te fakty maleją jednak wobec tego, czem uraczył Zarząd kuracjuszów i gości w dniu otwarcia sezonu i „Dożynek". Chodzi o rewje. W dniu 2 lipca miała miejsce rewja widowiskowa, wykonana przez koło dramatyczne U. S. B. pod przewodnictwem kol. Koryckiego przy łaskawym

współudziale pp. Rymkiewiczówny i Radwana, pary baletowej, która, jak pisze „Dziennik Wil.“ z dnia 6-go lipca b. r. (Otwarcie sezonu wakacyjnego w L.) zbierała zasłużone oklaski. Rzeczywiście zasłużone, bo tańce tej pary mogły się podobać nawet bywalcom kabaretów. Strój baletnicy dopasowany do tańca. P. Jakszta wyrozumiale potraktował tę część widzów, którąby mogła „zgorszyć się“ i pośpieszył z uprzejmem wyjaśnieniem, że charakter tańca — był to taniec egzotyczny — wymaga odpowiedniego stroju — p. Rymkiewiczówna rzeczywiście miała skąpy przyodziewek: tu przepaska, tam przepaska. Nie wszyscy ocenili należycie piękno tańca, byli tacy, co nazwali go „świństwem“, a nawet znalazł się taki „zacofaniec“, co natychmiast opuścił salę — był to ks. prof. Hlebowicz (zaproszony na odprawienie mszy św.). „W rewji - pisze dalej sprawozdawca z „Dzien. Wil.“ — szczególnie wyróżnił się p. Jakszta, wykazując znamiona prawdziwego talentu, to też jego inteligentny humor nagrodzony był długo niemilknącemi oklaskami rozbawionych gości“. Jaka szkoda, że sprawozdawca nie podpisał się! Odrazu możnaby było wiedzieć, jak takiego pana zabawiać: bo dowcipy rewjowe były „słone“, takie, że przeciętny szanujący się młody człowiek nie powtórzyłby ich w żadnem towarzystwie. No, ale czego się nie opowie w porządnem towarzystwie, posłucha się z przyjemnością na rewji z ust uzdolnionego artysty — a że dowcipy rzeczywiście były „na poziomie“, świadczą „długo niemilknące oklaski rozbawionych gości“.

Rewja — żywa gazetka w dniu „Dożynek“ była znacznie „lepsza“. Jak informuje „Dzien. Wil.“ z dnia 20. VIII b. r., było na rewji bardzo wesoło, były „salwy śmiechu i burza oklasków“ wśród publiczności. Nic dziwnego. Jeśli już poprzednia rewja była nieprzyzwoita, to ta była wprost cyniczna i wyuzdana, a to dziś ludziom się podoba. Rewja była obliczona na tych, którzy są bywalcami kabaretów i trzeciorzędnych teatrzyków — ubliża to ogółowi kuracjuszów i zaproszonych gości i świadczy nietylko o zaniku poczucia moralności u organizatorów, lecz i o braku taktu.

* * *

Komentarze chyba są zbyteczne. Wykazywanie, że powyższe fakty są sprzeczne z duchem nauki Chrystusowej — również niepotrzebne. Cóż na to wszystko Zarząd Bratniej Pomocy? Przecież teraz jest on w ręku Młodzieży Wszechpolskiej, o której katolicyzmie wątpić chyba nie można. Nie podejrzewamy też jej o uprawianie „podwójnej żydowskiej etyki“. Trudno też przypuścić, że destrukcyjne wpływy żydowskie, przed któremi wszechpolacy chcą za wszelką cenę uchronić naród polski, dotarły już i do nich. Byłby to silny argument dla ich tez. A może my źle oceniamy fakty? Może jesteśmy plus catholiques que le pape? Proszę więc nam wykazać, że się mylimy w interpretacji nakazów moralności. Bardzo chętnie wdamy się w dyskusję na ten temat i będziemy wdzięczni za sprostowanie naszych błędnych sądów. A może ze strony Zarządu to było tylko liczenie się z „tłumem“, obniżenie zasad, byleby tylko nie stracić popularności?... Może trudno wymagać od Zarządu, by był bardziej wrażliwy w dziedzinie moralności, niż ogół młodzieży akademickiej i starszego społeczeństwa?... Publiczność przecież, z małemi wyjątkami, była bardzo zadowolona, prasa miejscowa też nie spostrzegła nic niewłaściwego w podobnych widowiskach. W Dzienniku, Słowie i Kurjerze ani słowa oburzenia. Przeciwnie, Dziennik np. zamieszcza sprawozdania, jak najpochlebniejsze dla rewji. Dziwne się to wydaje, gdy się to zestawi z takiem zdaniem tegoż Dziennika (z dn. 28. VII „Depopulacja“): „Uważamy walkę z literaturą pornograficzną, z niemoralnemi widowiskami... za konieczną w imię zdrowia moralnego narodu“, lub gdy się czyta słowa oburzenia (Dzien. Wil. z dn. 7. X) na Legjon Mł. i Straż Przednią z powodu destrukcyjnej roboty w zakresie moralności. Niezrozumiałe jest, że katolicka wrażliwość Dzien. Wil. niejednakowo reaguje na jednakowe fakty. Zresztą nie o Dziennik Wileński nam chodzi; chcemy wreszcie wiedzieć, w jakim stosunku do etyki katolickiej są ci, którzy dziś kierują Bratnią Pomocą.

L. Małunowiczówna.

Nad brzegami Wilji.

Nad brzegami bajecznie malowniczej Wilji w Rykontach zainstalował się tego lata obóz akademickiej, ogólnopolskiej Juventus Christiana, której centrum stanowi środowisko warszawskie. Oddawna chodziły wieści, że obozy juventusowe są „cudne“, że się ludzie tam czują „bosko“, „morowo“ i t. p. określenia, a jednak mimo to, a może właśnie dlatego, Juventus wileńskie jechało z dużą kupą zastrzeżeń. Rzecz dziwna, po kilkodniowym pobycie znikły one całkowicie, a myśmy wszyscy „wsiąkli“ w tę atmosferę juventusową tak, że się nie czuło różnic środowiskowych (Warszawa—Poznań—Wilno; na tych trzech terenach rozwija się Juventus Christiana). Wszyscy stanowiliśmy jedną, wielką, silnie zorganizowaną i miłością spojoną rodzinę, bez jakichkolwiek na ten temat deklamacyj, czy frazesów.

Na nas, którzyśmy z krytycznem nastawieniem i nieufnością jechali, powiało nowe tchnienie, dziwny wiew, jakby Pierwszych Wieków Chrześcijaństwa.

Było to życie, jakby odnowa. Jak ci pierwsi wyznawcy Chrystusa mieliśmy Go na codzień. W samorzutnych, dobrowolnych wycieczkach do kościoła do miasteczka, w niedzielnym komentarzu Ewangelji, w świątecznych, świadomych liturgji, bo recytowanych Mszach, w czasie których czuliśmy potrzebę najzupełniejszego zjednoczenia z Chrystusem w cudzie sakramentalnym — i co najważniejsza, w samem życiu we wzajemnych stosunkach, które się układały tak, że jeśli i zachodziły kiedy konflikty, to w rozwiązywaniu ich czuć było chęć czynienia naprawdę dobrze, tak, że wspomnienia ich utrwalają zdanie, że istniały poto chyba tylko, żeby nie wprowadzać do życia nudy, jaka płynie ze słodkawej sielanki, a dać konkretne poczucie całej plastyki życia.

Jak pierwsi Chrześcijanie mieliśmy bliskość Chrystusa przez Jego przedewszystkiem naukę, której naczelne, najsilniejsze słowa widniały na reprezentacyjnym klombie: *Jam jest Droga, Prawda i Żywot* i na złoto-szafirowym sztandarze, umieszczonym na wysokim maszcie, trzepoczącym jakby programowo znaczkiem juventusowym na tle zasnutego „barankami“ błękitu nieba.

A jednak różniliśmy się od tych surowych w naszych wyobraźniach (nie znam dobrze prawdy historycznej) pierwszych czcicieli Mistrza z Nazaretu. Katakumby ich — to nasze, tonące w słońcu, a czasem dosłownie w strugach deszczu, namioty. Surowe, ciemne groby — Ich ołtarze modlitwy — to nasz brzozowy, biały krzyż z drobną figurką Zbawiciela, rozświetlanego

reflektorem lampki w czas modlitwy wieczornej, albo kapliczka „Częstochowskiej“ z ułożonych kiedyś przez obozowego artystę łupek z kory. Ich tajemnicze symbole porozumiewawcze — to nasz głośny, śmiały gong, który wkońcu „ochrypł“ od nieustannych nawoływań ku radości: modlitwie, posiłkom i zbiorowym zajęciom w ciągu dnia (referaty, kąpiele, roboty, śpiewy). Ich szaty obfite, powstałe z rzymskich tog, — nasze może bardziej (w granicach skromności a nie czarnych metafizycznych obaw) odsłonione ciała, poddane promieniotwórczym operacjom słońca i działaniu powietrza i wody.

Zbyt długa przestrzeń dzieli nas od tamtych czasów, byśmy się nie różnili i w tej, ponoć najbardziej t. zw. niebezpiecznej dziedzinie. Rzymianie i Żydzi (główny element pierwszych chrześcijan) mieli pewien szablon traktowania kobiety; Chrystus, choć rzucił jakby reflektorowe światło, podkreślające człowieczeństwo w kobiecie, nie mógł jednak tak odrazu zmienić utrwalonego zwyczajem stosunku mężczyzny do kobiety. Stąd czystość starochrześcijańska opierała się na metodach czystości, wpajanej młodzieńcom rzymskim: izolacji mężczyzny i kobiety.

Dziś, skoro postęp emancypacji zmienił zasadniczo warunki życia, czystość, oparta o izolację, jest nietylko niemożliwa, ale wprost śmieszna. Wszak spotykamy się razem: chłopiec z dziewczyną nietylko w salonach i buduarach, jak dawniej, ale w laboratorjach, seminarjach, pracy zawodowej — czemuż więc mielibyśmy wprowadzić sztuczny rozdział w życiu organizacyjnem, ergo obozowem? Czy dlatego, że ono obejmuje także życie towarzyskie, które według szablonowych pojęć, opiera się na erotyzmie z sosikiem seksualnym?

Ale dla Juventus szablonowe opinje są niczem, i wcale na nie nie zważając, potrafiło wytworzyć taki rodzaj koedukacji, o którym marzą wychowawcy — „utopiści“. Koedukacja ta, oparta o wspólną chęć i zapał, a nawet entuzjazm czynienia dobrze, po chrystusowemu, nie zna skrępowania, (daje tyle swobody, że bez trudności i obaw towarzyskich przed trywjalnością mogą obie strony na parumetrowym terenie przeprowadzać wszelkie kulturalne (w jakiejż minjaturze!) wymagania — chłopcy tępą brzytwą wodzą po namydlonych, niejednokrotnie fotografowanych policzkach, dziewczęta jako tako gładzić muszą legendarne sploty, dziś fruwające w powietrzu, rozkrzaczone czupryny), nie zna też wypoczynkowej nudy, która najchętniej poszukuje rozrywki jeśli nie w soczystym seksualizmie, to chociaż w tanio spreparowanym flircie.

Życie na obozie w Juventus, to życie pełne radości. Bo niby, co je ma krępować? Niema tradycyjnej manji świętoszkowania, ani donkichotowego antyklerykalizmu, oparte o prostotę i demokrację, stwarza najlepsze warunki psychiczne do nieustającej nigdy radości. Wspólne posiłki są najczęstszą okazją do wyładowania się talentów anegdociarsko-szopkarskich. Zresztą, kto na obozie nie ma talentu humorystycznego! Wszyscy się pod tym względem rozwijają błyskawicznie. Może urywki z szopki obozowej, choć w karykaturalnym skrócie, przedstawią parę ciekawszych postaci, dokoła których skupiały się zainteresowania humorystyczne. Na pierwszy więc ogień idą księża, którzy zwykle podlegają najsurowszej krytyce. Było ich 3 na 37-mio osobową gromadę.

Najpierw więc Ks. Detkens, serce Juventus, znany z tego, że w 40-to tomowym zbiorze wypowiadanych z szybkością światła anegdot, dzieli ludzkość na ludzi i kobiety. Słynny jest jego dowód, że kobieta nie jest człowiekiem, bo, gdy się na ulicy zawoła: „człowieku! człowieku!“, kobieta tego do siebie nie weźmie. Zanotowano w kronikach fakt drzemki Księdza w czasie dyskusji po komentarzu w niedzielne popołudnie:

Oto gong już dzwoni, w komentarza chwili,
Każdy się układa, głowę do snu chyli.
Uśnij sobie, uśnij, niech cię sen rozmarza,
Bo to już nadeszła pora komentarza... i t. d.

Ksiądz Piotrowski, który pod wpływem najpoczytniejszej obozowej lektury: „Tarzan wśród małp“ i „Dzikuski“ dokonał bohaterskiego przeistoczenia się w Tarzana, zanotowanego taką w kronikach uwagą:

Obiit sacerdos Stephanus
Natus est Tarzanus.

ma ku czci swojej poświęconą śpiewkę:

(na nutę „Pawjany“ i in.)

Nad Wilją mieszkają chrystjany,
Dziki klan
Z gałganów porobiły parawany,
Robią bałagan.
Do dżungli nad Wilją: tur - tur, fiu - fiu, wio - wio
Jedzie ksiądz Stefan.
Zaledwie przyjechał i zszedł z wozu,
Sutanę odrzucił w kąt obozu,
Dusza jego już była stracona
I w warszawskie wciśnięta rygory,
Lecz poczuła rodzinne swe bory
I odrazu się stała szalona.
Zmarł biedaczysko w opinji publicznej
Wczoraj był księdzem, dziś trup.
Śmierć ta zrodziła nam twór egzotyczny
Małpom wydany na łup.

— i t. p. i t. p. — brak miejsca, by przypomnieć o innych, choćby ciekawszych tylko osobistościach obozu.

Najbardziej się utrwaliły w pamięci wieczory na obozie, spędzane przy ognisku.

Jak miło nam pogodną nocą
Ognisko obsiąść ze wszech stron.
Płomienie ognia twarz nam złocą
I pieśni naszej płynie ton,
Dokoła blask płonących drew
I nasz młodzieńczy, rześki śpiew:
Hejże hej, hejże ha
Żyjmy więc póki czas,
Bo kto wie, bo kto wie,
Kiedy znowu ujrzym się!

Gdy płomień z trzaskiem suchych gałęzi wystrzelał ognistemi smugami w górę — leżeliśmy lub siedzieliśmy, jak Rycerze Okrągłego Stołu złączeni kolistą linją wykopanego w ziemi ogniska.

Po śpiewach następowała gawęda... o obozach naszych, o punktualności, ktoś z Poznania czy z Wilna zaznajamia najliczniej reprezentowaną Warszawę o swojem akademickiem życiu. Innym razem toczy się dopóźna w noc dyskusja nad solidaryzmem, kiedyindziej nad reformami w organizacji, albo dobrem wychowaniem na codzień.

Minutę po 9^{15} poświęcono pamięci tych, co na obóz przyjechać nie mogli, albo wpadli do nas na krótko, ale byli z nami poprzez tę minutę ciszy i listy, zaraz po ciszy odczytywane. Najczęściej czas przy ognisku schodzi na śpiewach, z których idzie werwa i tupet, rzadko smętek zadumy, płynący z niektórych ludowych piosenek.

Radość nas rozsadzała, gdy śpiewaliśmy gromadą:

Bóg radości dał nam tyle,
Słońca tyle, kwiatów tyle,
A my dzierżym za badyle,
A my patrzym w mrok,
W słońce iść, kwiaty rwać
I radości brzmieć hejnałem,
Pośród burz twardo stać
To młodego życia czar!

Więc w poczuciu siły, z wiarą w energję twórczą naszej organizacji entuzjazmowaliśmy się:

W życia wiośnie wstał radośnie
Młody hufiec nasz,
Toczy z ciemnością i niemocą bój,
Odrodzimy, odmłodzimy
Starą świata twarz!

A gdy księżyc wschodzi coraz wyżej i pada znak komendy, gaśnie powoli nasze ognisko w takt długo brzmiącej jeszcze, a coraz ciszej nocnej kołysanki:

Idzie noc, słońce już zeszło z pól, zeszło z gór, zeszło z mórz
I ty też głowę złóż
Bóg jest tuż!

Owo ledwie dosłyszalne: „Bóg jest tuż!" uplastycznia niezmiernie sugestywnie obecność Bożą. To też w milczącem skupieniu odchodzimy do kapliczki, gdzie rozświetlona reflektorami postać Ukrzyżowanego przemawia do nas słowami Ewangelji. Pada chóralne „Ojcze Nasz", „Zdrowaś", mocne „Wierzę", niekiedy „Confiteor" i tradycyjne „Wszystkie nasze".

Z kapliczki posuwa się w nocy orszak pod sztandar. „Baczność! Sztandarowi Cześć!" ...krótki szelest zsuwających się pięt i unoszących się w górę rąk... Za chwilę słychać szmer rytmicznego opadania sztandaru w melodji sznura, wygrywającego znane nam tony w jeździe po maszcie.

„Dobranoc!" — kończy dzień.

Po chwili dzwoni gong. Obóz śpi. Czuwa warta.

Obóz tegoroczny, rozbity na gościnnym terenie K.O.P-u przyniósł nam zaznajomienie się i zawarcie serdecznych stosunków z „kopistami", którzy zawsze służyli chętną pomocą (mieliśmy telefon, konie dla dostaw). Próbowaliśmy więc im choć częściowo się odwzajemnić udziałem w zabawach, przez nich organizowanych, gdzieśmy raz dali inscenizacje i kuplety humorystyczne „po wilensku".

Gromadna gościna K. O. P-u w obozie na kolacji i ognisku, pogadanki, głoszone w świetlicach kopowych może nie zginą w niepamięci, jak też i zabawa w obozie urządzona dla S.M.P. i całej ludności okolicznej.

* * *

Być może hasła ideologji Juventusowej, rzucone na szerszy teren naszego akademickiego środowiska, aż do znużenia wyładowującego się w destrukcyjnym krytycyzmie, nie wytrzymają konkurencji na demagogicznej licytacji frazesami. Ale też nie o to chodzi. Wytrzymają one konkurencję na licytacji życia. Siły witalne przez nie zaczerpnięte, nie wyczerpią się prędko ani łatwo.

J. Zienowiczówna.

Wiatr od wschodu.

Tej wiosny długo czarne stały drzewa
i ziemia naga;
w ulicznym kurzu wiatr znudzony ziewał
lub w złości smagał.
W palcach wychudłych, wynędzniałych kobiet
kwiaty przylaszczek schorowane
od chłodu więdły...
Tłum czekających na bezpłatny obiad
chwiał się lękliwie, przecinając ścianę
ponurym rzędem.
Drzwi otworzono. W duszącym oparze
który owinął długie, wąskie stoły —
kłębią się dzikie, niespokojne twarze,
złe oczy, niskie, poorane czoła,
ręce, co chleba kąsek długo ważą...
I oto w ciszę, poszarpaną brzękiem
łyżek, dzwoniących do misy ostatka,
wdarł się głos dziecka, biednym drżący lękiem:
„Kamczatka, trzy na dziesięć, cztery na dziesięć,
Kamczatka!"
Ten, ów kupuje i w zanadrze chowa.
Po głodnej ciszy powstał gwar półsyty;
pełzają lepkie, nienawistne słowa:
„Żydówka — dżagan w basenie ukryty —
Ślad krwi — koszula seledynowa —
tym adwokatom dolarami płacą" —
„Kamczatka, trzy na dziesięć,
najlepsza Kamczatka Charmaca"
Ziębłe rączyny ściskają pudełko,
z pod czapki patrzą oczy błagające —
cóż stąd, że właśnie zaświeciło słońce,
bezużyteczne, zimne świecidełko?
— *Kamczatka* — zdala słychać śmieszny bełkot.

Cukrów słodka miazga,
Wino, murzyn, jazz-band,
Noc, pleców nagich biel,
Karminowy ust pocałunek,
wytworny smak Martel.
I tu i tam splecione pary płyną
w Rebeki takt.
„Nie wróci już - więc szkoda łez, dziewczyno, usta daj!
I kochaj nanowo
żądzą purpurową,
precz odrzuć żal i wstyd!
Na płonącem łożu przy sobie
niech nas zobaczy świt".

Zamykać! Tłumem plunęły na miasto
drzwi, rozkrzyczane plakatów bezwstydem,
mroczne piwnice i brudne meliny;
twarze zgniecione plamią się ceglasto,
niepewne nogi jak po lodzie idą,
półkola kreślą i gną się jak z gliny.
— Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Zadusić, won Hitlera!
Sowiety — sprzymierzeniec nasz,
Europa — to rudera! —
Kopnij ją w Polskę, a wnet z nóg się zwali
i My natenczas będziem panowali. —
— Patrz, Bazylika jak zmurszała wieża
od faryzejskich kwasów się rozpęka;
w drewnianych łupkach Świętojańska dzieża,
jako bezwładna wielkoluda ręka.
Wiara—to tylko bezpieczeństwa kaftan,
Nadzieja—głupców okrętu kotwica,
Miłość—dla zmysłów niespokojnych nafta,
Krzyż—to ludzkości całej szubienica!
— Patrz, JUTRO wstaje w ognistych skrach,
spali przed Bożem prawem strach,
co żre nas jako trąd,
WOLNOŚCI szczęście tryśnie po nocy,
zaszumi wolna krew!...
A może — wszystko zmiażdży, zdruzgoce
JEGO straszliwy gniew?
Gdzie uciec? — gdzie? — w śmierć? — nie.
Ratunku niema. NA SĄD!
Twarze zgniecione plamią się ceglasto,
niepewne nogi jak po lodzie idą...

Kochamy wolność naszą, jak zdrowie
swych dzieci miłuje matka...
— *Kamczatka, trzy na dziesięć, cztery na dziesięć,*
Kamczatka!

Wilno, kwiecień 1933.

Wanda Nowodworska.

Hungariae—Salutem.

Licytowano Ją długo na giełdach sprzedajnych świata,
Ciskano kamienie obelg pod biedne skrwawione stopy,—
Aż osmagały, jak bicze, kręte podpisy traktatów
I pogrzebały ją — żywą — gdzieś na rozdrożach Europy.
Parwenjusze kultury wznieśli dokoła mur zwarty,
Mur nieprzebyty, wysoki — twardszy i wyższy od Karpat.
Rozdarto ziemię Arpada: oto trzy rany krwawią
Za braćmi utraconymi, w noc obojętności i trwogi...
Jak Wam możemy dopomóc — wam, wyrzuconym za nawias,
My, rozbitkowie mocarstwa, wyspa na morzu wrogiem?
Między kartkami zżółkłemi skrzętna historja chowa
Dumnej królewskiej przeszłości kwiaty zawiędłe, choć barwne;
Dziś nie możemy już, bracia, iść za Batorym do Pskowa
Lub, razem z Wami, podążać za naszym królem pod Warnę!...
Lecz kiedy ziemia od wschodu zatętni krokiem najazdu,
Sztandarów krwawo-czerwonych łuna zabłyśnie szeroka — — —
Ruszymy w pole, jak niegdyś, by bronić krzyża przed gwiazdą
I razem piersi nadstawić wojskom nowego proroka.

Jan Zawisza.

Czerwona zaraza.

W wirze codziennego życia często zapominamy o niebezpieczeństwie, grożącem nam ze Wschodu. A jednak jest ono wielkie, zwłaszcza ze względu na siłę ekspansji. To też dobrze jest uświadomić sobie metody i sposoby propagandy sowieckiej.

Akcja bolszewików przyjęła dwie zasadnicze formy: dla Azji i wogóle części świata pozaeuropejskich — popieranie nacjonalizmów miejscowych, walka z imperjalizmem europejskim. Przyczem, w myśl wskazań kongresu komunistycznego w Bombayu z 1927 r., nie tworzy się komunistycznych partyj ale „lewe odłamy“ nacjonalistów czy „ugrupowania lewicowe“ (mutatis mutandis, front lewicy akademickiej z Kapałą i Kruszewskim). Ruch ten szczególnie silnie objawił się w Indjach, Ameryce Południowej, Chinach, Kanadzie i niektórych centrach U. S. A.

I tak działalność sowiecka w Indjach rozpoczęła się w roku 1921. Od tego czasu przywódcy ruchu Chattopadhyaya i Roy potrafili, w głównej mierze dzięki pieniądzom, osiągnąć znaczny wpływ na całym półwyspie Hindustańskim — stowarzyszenia, jak „Przyjaciele wolności Indji“ w Stanach Zjednoczonych, „Biuro Indyjskie“ w Anglji, „Komitet prohinduski“ we Francji, „Biuro studentów Hindusów“ w Berlinie są organizacjami bolszewickiemi. W roku 1923 powstaje „Stowarzyszenie marynarzy hinduskich“, będące jedną z głównych dróg dopływu propagandy. W samych Indjach wyraźnie komunistyczne są: „The Antipriestcraft Association („Stowarzyszenie przeciwkapłańskie“), „The Rationalist Association of India“ (Stwarzyszenie racjonalistów indyjskich“), „Friends of Soviet union“ („Przyjaciele związku radzieckiego“) i „Self Respect Movement“ („Ruch godności osobistej“) — jak widać o zupełnie niewinnych i „naukowych“ nazwach.

W Chinach w r. 1927 pierwszy dowódca komunistyczny Aug-Pai miał około 4.000 ludzi, dziś $^1/_6$ terytorjum Chin znajduje się pod władzą komunistów, a drugie tyle pod ich kontrolą, siły zbrojne wynoszą 17 armij.

W Kanadzie praca komunistów jest bardziej „pokojowa“, ale niemniej intensywna, przyczem jednym z warunków uzyskania pracy, ze strony komunistycznych biur pracy, jest uroczysta apostazja religji. Centralą pieniężną i propagandową jest t. zw. „Armtorg Trading“ („Towarzystwo handlowe Armtorg“) Co. w New-Jorku. Pomimo „pokojowości“ oficjalnie nawołuje się do rewolucji, mającej rozwiązać kryzys ekonomiczny w komunistycznym ruchu Kanady. Wielką rolę odgrywają cudzoziemcy — robotnicy, wśród nich znaczny odsetek tworzą, niestety, Polacy.

Przywódca „Drobnych Farmerów“ Georges Williams na łamach „The Western Producer“ „podnosi kurtynę“, głosząc zasady kompletnej etatyzacji środków produkcji i odnosi się z wielką sympatją do Sowietów.

W Ameryce Poł. ruch Zapaty w Meksyku, A. P. R. A. i jej duchowi i faktyczni przywódcy jak Gourales Prada, Carlos Mariategni i Haya de la Torre w Peru, bardzo mało odbiegają w swoich zasadniczych poglądach od moskiewskich bolszewików, szczególnie co się tyczy nienawiści do katolicyzmu; jednakże nawiązanie do tradycyj Ameryki pre-kolumbijskiej, t. zw. „Misje Kulturalne“ w Meksyku i ruch odrodzenia Indjan nie zdają się wróżyć zwycięstwa idei państwu komunistów po tamtej stronie Atlantyku.

W Stanach Zjednoczonych bolszewizm przybiera formy zbliżone do zachodnio-europejskich t. j. kulturalnego kontaktu z Z. S. S. R. i bezbożnictwa. Do głównych luminarzy tego ruchu należą takie jednostki jak H. L. Mencken i Upton Sinclair.

Ogólno-światową jest organizacja t. zw. „M. O. P. R.“ lub „Międzynarodowa Pomoc Czerwona“, która w dniu 1 stycznia 1932 r. liczyła 67 sekcyj narodowych (z których 35 nielegalnych) — czynnych członków-kierowników było 39549, liczba oddziałów — 12313, obejmujących około 5 miljonów członków, wśród nich takie nazwiska jak Romain Rolland, prof. Langevin, Einstein („Izwiestja“ 19 paźdz. 1932 r.). Jednakże propadanda ogólno-światowa jest tylko tłem, przygrywką tego skoncentrowanego ataku, który prowadzi bolszewizm w Europie. — Taktyka jego jest wyraźna — stworzenie zdolnej grupki przywódców i bezwładnej, nie mającej żadnych skrupułów masy. Przywódcy muszą wykazać się oczywiście swojem „czysto proletarjackiem“ pochodzeniem, elementy „inteligenckie“ nawet najbardziej czerwone są widziane niechętnie i traktowane z dużą nieufnością.

Oczywiście nie występuje się pod właściwą firmą,— tworzy się „lewe odchylenia“, „radykalne odłamy“, „demokratyczne partje“, „lewe fronty“ — jednem słowem system radykalnych grup (często nieświadomych swojej roli) konkurujących ze sobą a prowadzących do jednego celu — otępienie jak najszerszych mas, wykorzenienie religji i wytworzenie pewnej elity bezpośrednio podporządkowanej Moskwie.

„Taktyką Nr. 2“, jeżeli można tak powiedzieć, jest tworzenie jak najszerszych warstw „bezstronnie sympatyzujących“, czy to na polu ekonomicznem czy kulturalnem; szerzenie przekonania, iż w Sowietach dzieje się coś interesującego, z czego ewentualnie można wyciągnąć korzyści dla siebie, tworzenie ogólnej aury zainteresowania „kolosalnemi osiągnięciami“ państwa chłopów i robotników.

Wreszcie 3 grupą taktyczną, największą i wchła-



G. A. Achremowicz. Linoleoryt. — Kościół św. Michała.

niającą obie poprzednie, jest ruch antyreligijny. Walka ta ogarnęła dziś zupełnie wyraźnie cały świat, wszelkie środki nowoczesnej techniki są podporządkowane temu celowi. Kino, teatr, muzyka, prasa, literatura, nauka w odpowiedniem materjalistycznem spreparowaniu usiłują obalić Boga. Skala odcieni jest olbrzymia: od subtelnych rozstrząsań filozoficznych aż do zdumiewających w swej ordynarności i płaskości pisemek brukowych zawsze o zabarwieniu pornograficznem. - Rzecz charakterystyczna: bolszewizm u siebie napadający na perfidną Europę, iż erotyzmem i sportem osłabia odporność klasy robotniczej, na zewnątrz stosuje te właśnie 2 środki dla zdobycia zwolenników. Co do akcji antyreligijnej, najbardziej charakterystyczny jest głos samych bolszewików. „Bezbożnik" z dn. 31 paźdz. 1932 r., omawiając posiedzenie 17-tej konferencji partyjnej, pisze:

„Wysiłek uśmiercenia religji podczas drugiej pięciolatki nie będzie łatwym. Należy rozszerzyć i pogłębić walkę antyreligijną, przenieść ją na teren ideologiczny, podciągnąć naszych zwolenników aż do dyskusyj teoretycznych na podstawach i metodami materjalizmu dialektycznego.... zachowywać te dwa zdania Lenina: iż walka z religjami skomplikowanemi jest konieczniejsza, lecz i trudniejsza, aniżeli z kłamstwami religij prymitywnych i że ona nie może oddzielić się od walki z idealizmem, *ponieważ idealizm filozoficzny prowadzi do papieżnictwa.*

(à la clericaille) (podkreślenie „Bezbożnika"). Materjalizm, materjalizm i tylko materjalizm. Oczywiście oprócz wyżyn dyskusyjnych używa się i pospolitych łgarstw i gra się na najniższych instynktach i tak 28. III. 1931 r. „Przegląd berliński kobiet komunistek" pisze w „Papież przeciwko nędzy kobiet": — Od dwóch tysiącleci Kościół powtarza z pokolenia w pokolenie swoją zbrodniczą czynność, pozbawia wszelkiej woli klasę robotniczą i utrzymuje ją w niemiłosiernym ucisku. Papież jest ordynarnym szarlatanem: pretenduje kroczyć śladami Chrystusa, który nie miał gdzie skłonić głowy, chociaż on, papież, ze swojemi willami i pałacami nie wie, czem jest kryzys mieszkaniowy". W jak sympatyczny sposób przypominają te enuncjacje „gibellińskie" artykuliki naszej domorosłej „Smugi", jaka jedność myśli, co za rozczulający synchronizm oburzenia!

W Niemczech, Belgji, Anglji istnieją towarzystwa „radykalnych i wolnomyślnych aktorów", którzy dają przedstawienia specjalnie antyreligijnych sztuk, kulminacyjny moment przedstawienia — sztuka jest „proletarjacka", publiczność bierze w niej udział pospołu z grającym — to gdy cały ten tłum z wściekłością rzuca się na scenę, by deptać z pianą na ustach krzyże, Biblje i symbole Eucharystji. Jakoś dziwnie przypomina się „Là-bas" Huysmansa, czarne msze i tak dokładnie naukowo wyśmiany i „precyzyjnie obalony" satanizm.

W konkluzji można stwierdzić jedno: propaganda bolszewizmu jest potężna, tem bardziej niebezpieczna iż różnorodna i działająca pod maską, często nawet najbardziej „katolickie i narodowe ruchy" są inspirowane przez nieświadomych czy ukrytych zwolenników czerwonej gwiazdy. Dziś, w chwili walki wszelkie „gibellińskie" zapędy, wszelka „objektywna krytyka" Kościoła i jego urządzeń jest zdradą. W czasie burzy nie rozstrząsa się nadużyć kapitana okrętu. Jakakolwiek koncesja na rzecz czerwonej zarazy, jakiekolwiek odchylenie może sprowadzić czasową wprawdzie ale bolesną klęskę. Hannibal nietylko stoi pod murami Miasta, ale usiłuje wedrzeć się do niego.

Deucalion.

Cytaty i dane statystyczne są wyjęte z artykułów: „La propagande sovietique antireligieuse" w Revue des Deux Mondes z 1 i 15. II. 1933 i „Le reveil Indien" z 1. V. w tem że czasopiśmie.

Tydzień Społeczny w Lublinie.

Co roku, od 12 już lat, odbywa się w Lublinie Tydzień Społeczny. Nie jest on tworem oryginalnym, ma odpowiedniki zagranicą w Tygodniach Społecznych, np. francuskich, włoskich, hiszpańskich, kanadyjskich. Wyróżnia się jednak tem, że główna praca opiera się nietylko, jak zagranicą, na referatach, wygłaszanych przez uczonych i publicystów katolickich, ale przedewszystkiem na intelektualnym wysiłku wszystkich uczestników, którzy w dyskusji i wspólnej wymianie zdań wykuwają podwaliny ideowe. Znaczenie Tygodni w ruchu odrodzeniowym jest ogromne. Tam się krystalizowały ideowe założenia Odrodzenia, tam się wychowywały szerokie rzesze młodej inteligencji katolickiej. Dziś mają już one swoją tradycję, wywierają też silne wrażenie na tego, kto poraz pierwszy bierze w nich udział. Poszczególne środowiska Odrodzenia starają się wysłać jak najwięcej swych członków i sympatyków, bo wiedzą, że po Tygodniu wracają ludzie pełni rozmachu i entuzjazmu dla sprawy.

W myśl ideologji Odrodzenia, praca na Tygodniu opiera się na ścisłem połączeniu się z Bogiem. Dzień każdy zaczyna się i kończy w kaplicy uniwersyteckiej. I to nie jest tylko szablon. Życie Boże pulsuje wśród uczestników. Wzruszający to widok, gdy się widzi rzesze uczestników, przystępujących tłumnie do Sakramentów św. A niema przecież żadnego przymusu organizacyjnego, jest tylko wewnętrzna potrzeba i głębokie przeświadczenie, że jedynie w połączeniu się z Chrystusem praca może być twórcza.

W tym roku część referatów poświęcona była zagadnieniom życia wewnętrznego. A więc: „Św. Paweł jako wychowawca ludzi", „Chrystocentryczny charakter życia chrześcijańskiego", „Asceza życia codziennego", „Rozwój życia łaski w człowieku". Pozostałe referaty poruszały kwestje o charakterze społecznym: „Ruchy społeczne — Akcja Katolicka — Odrodzenie — Wzajemny stosunek i oddziaływanie", „Pojęcie honoru a etyka katolicka", „Współczesne zagadnienie kobiece w Polsce", „Kwestja żydowska", „Postawa katolików wobec problemów ustrojowo-gospodarczych", „Wolna czy planowa gospodarka z punktu widzenia współczesnego państwa", „Prądy ideowe młodej wsi polskiej".

Trudno jest tu streszczać referaty i oceniać ich wartość. Widać, że tematy były dobrze dobrane, bo ludzie długo nad niemi dyskutowali. A mówili szczerze. Szukali odpowiedzi na dręczące pytania, przedstawiali swe bolączki. Oczywiście dyskutowanie nie kończyło się na zebraniu, gadało się prywatnie i to nieraz do późna w nocy. W takich prywatnych rozmowach poruszało się najrozmaitsze tematy, omawiało się program i metody pracy w poszczególnych środowiskach, informowało się o wielu rzeczach, związanych z pracą w Odrodzeniu. Znajomości zawierało się ogromnie łatwo i ciągle, ciągle się gadało. To bezpośrednie zetknięcie się z ludźmi tej samej idei dawało bardzo dużo. Taki Tydzień to zarazem „rekolekcje" odrodzeniowe. Poszczególne środowiska poznają się wzajemnie, co ułatwia jednolitość w działaniu. Widzi się, jak każde środowisko ma swój specjalny charakter. Wilno wyróżnia się szukaniem nowych dróg w społecznej doktrynie katolickiej, pewnym radykalizmem, a mniej się zajmuje pracą charytatywno-społeczną. Tydzień — to zaopatrzenie się w worek tlenu do pracy rocznej. Rzucone hasła i myśli należy przepracować, zrobione spostrzeżenia co do pracy w innych środowiskach należy zastosować w praktyce.

Przy tem wszystkiem nastrój jest ogromnie ożywiony i wesoły. Nastrój młodości. Promieniuje wzajemna życzliwość. Można nikogo nie znać, a czuć się w tej wielkiej różnobarwnej gromadzie, jak wśród swoich i bliskich. Ludzie podchodzą z sercem na dłoni. Senjorzy (a różnej „kondycji": biały dominikanin, księża, ludzie „na stanowisku") i „młodziki", całe to bractwo śpiewa, dowcipkuje, hałasuje bez różnicy płci i wieku.

Trudno dać dokładny obraz Tygodnia Społecznego, jedynym sposobem poznania jest udział w nim. Na przyszły więc rok jedziemy tłumnie do Lublina!

L. Małunowiczówna.

Slavia Catholica.

W ostatnich dniach lipca b. r. odbył się w Polsce Kongres Słowiańskich Akademickich Organizacyj Katolickich, mający charakter częściowo turystyczny. Na Kongres przybyli delegaci sześciu narodów: Chorwaci, Czesi, Słowacy, Słoweńcy, Ukraińcy i oczywiście Polacy. Początek na Jasnej Górze. Niezatarte wrażenie pozostawia modlitwa ludu polskiego u stóp Matki Boskiej, z nieudolnych rymów częstochowskich brzmi całkowite oddanie się Najwyższemu. Twarze pielgrzymów, którzy nieraz przebyli setki kilometrów, ożywia wiara. Rozpoczęcie Kongresu w Częstochowie nadało zjazdowi pogodny nastrój. Mimo, iż podczas dyskusyj poruszano nieraz problemy bardzo drażliwe, atmosferę serdeczności zakłóciło tylko kilka krótkotrwałych tarć, które kończyły się jednak zgodą. Uniwersalistyczne podejście cechowało wszystkich uczestników zjazdu. Mieli oni na oku przedewszystkiem dobro Kościoła. Na czoło zagadnień wysunęła się kwestja unji. Problem ten niesłychanie ważny w dobie dzisiejszej, szczególnie powinien zainteresować nas, Polaków. My jesteśmy najbardziej doświadczeni w tej dziedzinie, a praca unijna w Polsce jest najintensywniejsza ze wszystkich narodów słowiańskich. Jednak za mało jest na naszych ziemiach zrozumienia dla tych zagadnień, za mało zainteresowania szczególnie wśród świeckich. Muszą być te problemy przetrawione, winny powstać kursa unijne we wszystkich organizacjach katolickich. To zagadnienie jest zagadnieniem aktualnem. Nieraz w swej pracy przyszłej na wsi możemy zetknąć się z temi zawiłemi problemami i staniemy bezradni, gdyż będziemy w nich kompletnymi ignorantami. To obecnie dla ogółu młodej inteligencji katolickiej terra incognita. Dopiero zjazd międzynarodowy wykazuje nam, jak wielkiej wagi jest problem unijny.

Bardzo wielkie zainteresowanie obudziły wśród uczestników zjazdu zagadnienia gospodarcze i społeczne. Widać było na twarzach podczas referatów, omawiających współczesny kryzys gospodarczy, ożywienie i zainteresowanie. Często wyczuwało się w rozmowach i przemówieniach pragnienie dokładniejszego skrystalizowania katolickiej myśli społecznej i gospodarczej. Jasną jest rzeczą, iż Kościół nie wysunie programu przebudowy ustroju, jego bowiem zadania nie są z tego świata. Obowiązkiem jednak każdego katolika jest przeciwdziałać niesprawiedliwości społecznej w myśl wskazań Kościoła.

I mogę tu na pociechę „podwórka wileńskiego" stwierdzić, iż dotychczas z całej Słowiańszczyzny katolickiej akademickiej najbardziej zaawansowane w tych zagadnieniach jest Wilno. Czy utrzymamy się na tem stanowisku, niewiadomo.

Podczas Kongresu odbyły się posiedzenia Komisji wymiany studentów. Ustalono plan wymiany. Szereg kolegów z Bratislawy, Zagrzebia, Pragi i t. p. przyjedzie do Polski, a znów nasi pojadą do pobratymców Słowian. Wśród uchwał zjazdu zasługuje na specjalną uwagę: powstanie nowej organizacji p. n. „Slavia Catholica".— Konsolidacja Słowian Katolików postępuje coraz to naprzód.

Z Poznania, gdzie toczyły się główne obrady Kongresu, wyruszono do Gniezna, Torunia i wreszcie do Gdyni. Pokazano gościom dawne zabytki oraz przedstawiono Gdynię. Podobała się im wielce. Kongres zakończył się w Gdyni. Organizacja była doskonała.

Następny Kongres odbędzie się w Pradze w 1934 r.

Poznajmy się a pokochajmy się — oto dewiza katolickich „panslawistów". *G. Nowodworski.*

Ryby, filmy sowieckie i teatr.

Coraz to dolatują nas powiewy od strony czerwonej Rosji — dochodzą w rozmaity sposób, rozmaitemi drogami... prasa, radjo, sztuka, kino... Wystarczy wziąć słuchawkę. Naturalnie! Moskwa, jak zwykle, zagłusza inne radjostacje krzyczącą propagandą. Posłyszymy po raz tysiąc pierwszy coś o „piatiletce" i gospodarce planowej, coś o upaństwowieniu wychowania dzieci, coś o nowych maszynach bolszewickich i nowych wynalazkach techniki sowieckiej, jakiś odczyt ultra-antyreligijny, jakieś jaskrawe oświetlenie idei komunistycznej... Nawet koncerty sowieckie są nawskroś przesiąknięte tendencyjnością.

To samo w sztuce. Przypomnijmy sobie ostatnią bardzo ciekawą i bogatą wystawę międzynarodową grafiki w warszawskim Instytucie Propagandy Sztuki. Wśród pokaźnej ilości drzeworytów, nadesłanych przez Z. S. S. R., nie znajdzie się ani jednego, z któregoby znów nie biła w oczy komunistyczna tendencja... Sztuka jest niewolnicą państwa i jego polityki.

Trzeba przyznać, że nasi sąsiedzi od wschodu potrafią się reklamować i nie pomijają żadnej ku temu sposobności.

Kino?.. Polska wysyła Sowietom przedmioty swego przemysłu. Drogą wymiany otrzymuje ryby, futra i filmy. O filmach tych chcę parę słów powiedzieć, bo to jedna z najbardziej przykrych spraw i najbardziej palących.

Widywaliśmy je kilkakrotnie w zeszłym roku szkolnym. Ostatnio mieliśmy okazję oglądać dwa nowe filmy produkcji sowieckiej. Pierwszy — „Turbina" — to hymn pochwalny na cześć maszyny, (niech żyje materja!!!) drugi — „Martwy Dom" jest przeróbką pamiętników Dostojewskiego z czasów 1849 - 1853. Trudno zaprzeczyć, że interpretacja utworu znakomitego pisarza rosyjskiego jest tu bardzo dowolna i naginana swobodnie do propagandowych zamierzeń Sowietów. Tu i ówdzie napotykamy na zupełne rozbieżności z tekstem. Często się to zdarza, że jakiś autor, widząc na srebrnym ekranie sfilmowaną swoją powieść, nie może się w niej, poza imionami bohaterów, dopatrzyć większych podobieństw z własnem dziełem — rozmaite tego bywają przyczyny: albo nieudolność reżysera, czy też zbyt dobre serce, które podszepnie mu np. aby darować życie Hamletowi wraz z całą jego rodziną i dramatowi szekspirowskiemu dać szczęśliwe jakieś rozwiązanie z puharami szampana i radosnem „Kochajmy się", albo jakieś niemożliwości techniczne, które trzeba załatać specjalnie kinematograficzną inwencją i t. d. i t. d. W filmie sowieckim zauważa się odmienne zjawisko. Bolszewicy świadomie i zdecydowanie przekręcają najszlachetniejsze myśli, najwznioślejsze rzeczy dla swoich celów komunistyczno - propagandowych, albo poprostu dla własnej wygody zmieniają fakty i stosunek autora do nich. Np. stosunek Dostojewskiego do Polaków był, jak wiemy, wyjątkowo ujemny, wprost pogardliwy, (widać same ciemne i awanturnicze typy naszych rodaków spotykał on w Rosji). Sowietom, którym zależy obecnie na stosunkach z Polską, wygodniej było (sądzę, że nie z przekonania) przedstawić tu typ Polaka bohatera i patrjoty, który gotów bez wahania życie i krew oddać za wolność ojczyzny. A my?... Komuż dym wonnego kadzidła nie jest przyjemny? — przyjmujemy z zadowoleniem tę wersalską grzeczność. Mniejsza z tem, zresztą. Są inne rzeczy bez porównania ważniejsze. Konkretnie — co nam daje film „Martwy Dom"?

Dostojewski—pisarz, poeta, człowiek o duszy ogromnie wrażliwej przeżywa b. silnie całe zło stosunków społecznych. Cierpi i buntuje się wewnętrznie przeciw okrucieństwom i skrajnym niesprawiedliwościom jedynowładztwa.

Stosunki te przedstawione są w sposób, oczywiście, jak najbardziej jaskrawy przez Bolszewików, w sposób wprost brutalny; cały szereg scen wstrząsających zgrozą, podłość władz, przekupstwo, niepewność życia, nieludzka srogość cara — mrozi chwilami krew w żyłach. Dostojewski — liberał patrzy na to i cierpi, widząc upadek ojczyzny. Za obecność na konspiracyjnem zebraniu skazany na ciężką katorgę, przeżywa tam przełom wewnętrzny, którego wynikiem, według filmu sowieckiego, jest ukorzenie się przed władzą.

Z rzeczywistych pamiętników nie wysnuwa się takiego wniosku o przeobrażeniu wewnętrznem wielkiego literata. Poprostu stał się on filozofem-mistykiem. Zdając sobie sprawę, że jest źle, że w dalszym ciągu dzieją się krzywdy, wołające o pomstę do nieba — wierzy w odrodzenie i mesjanizm Rosji, która stanie na czele narodów, ale do odrodzenia przejść musi przez upadek i to bardzo, bardzo niski. Na nic konspiracje i zrywanie więzów; przeznaczenie się spełni.

„Ukórz się dumny człowieku, ukórz się próżny człowieku, a poznasz prawdę!" — I na te słowa, głoszone na tłumnej jakiejś akademji przez literata, przywróconego do łask i sławy, jakaś młoda dziewczyna, o pięknej, namiętnej twarzy i zdecydowanie zaciśniętych ustach, rzuca mu z pogardą:

„Jak panu nie wstyd w naszym kraju głosić takie zdania?! *Naszemu narodowi nie należy mówić o pokorze — trzeba mówić o buncie!!...*"

I w tem właśnie zdaniu spoczywa punkt ciężkości sowieckich tendencyj. *„Naszemu narodowi trzeba mówić o buncie!"* Oto zasadnicza myśl bolszewickiego filmu — w której brzmią echa rewolucji, czuje się posmak krwi. Bunt wobec zła i podłości jest rzeczą dobrą, nawet konieczną, ale bunt twórczy. Cały film o „Martwym Domu"

jest wybitnie negatywny. Zaiste, specyficznie jakoś odgradzamy się od wpływów bolszewickich! Lekceważymy w dziwny sposób tę doskonałą i świetnie przez Sowiety obmyśloną drogę przedostawania się do nas fali komunizmu. Rzecz pewna, że żadne akcje agitacyjne, żadne ulotki nie mają takich szansów wywoływania pożądanych efektów, jak kino. Kino w dzisiejszych czasach—to strawa, którą karmią się najszersze masy społeczeństwa. Pomijam tu inteligencję, która już ma pewne wyrobienie kulturalne — dla niej kinematograf nie jest jedynem źródłem kulturalnych wzruszeń — pozostaje teatr, książka... Biorę pod uwagę szerokie warstwy, stojące na niższym szczeblu społecznym, tak bardzo jeszcze nie wychowane.

Znaczenie wychowawcze kinematografu jest ogromne, niestety jednak, zbyt małą zwraca się na to uwagę. Przerażenie ogarnia na myśl o tych setkach mniej niż miernych „filmideł“, gdzie treść banalna i przynajmniej w miarę, a niejednokrotnie ponad miarę pornograficzna i głupia łączy się z nader żałosną formą. To jest ten stęchły chleb powszedni, jakim karmią się niewybredne masy. Bywają filmy wartościowe, doskonale zmontowane, o pięknej, szlachetnej, podnoszącej duchowo a nie destrukcyjnej treści, ale jest ich doprawdy niewielki odsetek w całej powodzi nędzy filmowej.

Co się tyczy filmów bolszewickich, to trzeba przyznać, że pod względem techniki należą one do najlepszych. Reżyserowane pierwszorzędnie, dają szeregi niezrównanych obrazów.

Mimo niesmaku, jaki wywołuje ta nieustanna na każdym kroku propaganda, wynosi się wrażenie silne, nieraz prawie potężne. I to jest może właśnie najgorsze, bo tą drogą emocyj estetycznych najłatwiej i niespostrzeżenie przesączać się może do dusz naszych skrajny, rozkładowy materjalizm naszych sąsiadów. Dziwną jest rzeczą, że nie potrafimy reagować stanowczo, zdecydowanie na rzeczy oburzające. Całe społeczeństwo jednogłośnie powinno się przeciwstawić tej akcji bolszewickiej!! — kino Heljos, które na swoim ekranie wyświetla sowieckie filmy, cieszy się wielkiem powodzeniem i zawsze dużą frekwencją...

Należy się obawiać, czy, w związku z tem, w krótkim czasie więzienia nasze nie poszczycą się równem powodzeniem i frekwencją osób, osadzanych tu na dłuższy, przymusowy odpoczynek za przekonania komunistyczne i działalność antypaństwową.

Byłaby to tylko konsekwencja rozmaitych niekonsekwencyj... w postępowaniu.

* * *

Nowy sezon teatralny rozpoczął się na Pohulance pomyślnie dobrą sztuką Jerzego Szaniawskiego, (laureata nagrody miasta Wilna) p. t. „Most“.

Jest to sztuka poważna, poruszająca najgłębsze problemy życiowe. Zazębiają się tu dwa zagadnienia. Wartość życia człowieka, według Szaniawskiego, jest tak wielka, że raczej należy zrezygnować z najdroższych planów, niż zezwolić komuś, choćby samorzutnie, narażać się na śmierć dla nas. Młody architekt, w chwili, kiedy nie przeszkodził ojcu udać się na niebezpieczną walkę z rozhukanym żywiołem, na walkę, od której wyniku zależało jego własne szczęście, zdaje sobie sprawę, że pomimo, iż starcowi nic się nie stało, piętno zbrodni osiadło na jego synowskiem czole i tego piętna nic nie zetrze. Zamąci mu ono wszystkie radosne chwile, płynące z osiągnięcia wymarzonych celów. Z drugiej strony—apoteoza bohaterstwa. Warto, bezwątpienia warto poświęcić *własne* życie dla pięknej sprawy. Tą drogą okupić można wszelkie zbrodnie.

Stary przewoźnik był człowiekiem małym, przeciętnym aspołecznym. Kierowany fanatyczną nienawiścią do mostu, owego symbolu jakiejś złej siły, która zahamowała szczęśliwy bieg jego życia, popełnia zbrodnię wobec społeczeństwa, przyczynia się do zburzenia dzieła, wzniesionego dużym kosztem, dzieła, które jest dobrodziejstwem dla ludzkości.

Po tym czynie jest mu źle i sądzi, że tak już zawsze będzie.

Dopiero bohaterska walka ze śmiercią, w wątłem czółnie, na wezbranej rzece oczyszcza go, wyogromnia jego małą, samolubną dotychczas, duszę. Dopiero drogą ofiary następuje ekspiacja. Kiedy w III akcie zjawia się przewoźnik, jest to już inny człowiek...

— Wiemy, że za chwilę zjawi się agent tajnej policji, że wkrótce starzec znajdzie się w więzieniu, w gronie złoczyńców, a jednak teraz wydaje nam się on jakimś olbrzymem duchowym. Zmianę zauważa i on sam w sobie. Po raz pierwszy w życiu ten ponury niedźwiedź cieszy się kwiatami, po raz pierwszy znajduje w swem sercu dla otoczenia dobre, pieszczotliwe słowa. Patrząc na stare, okopcone ściany, mówi, że stały się jakieś piękne, jasne: „I nie wiem, czy zmienił się ten pokój, czy ja się sam zmieniłem...“ Owładnęła nim cicha, mocna radość, która nie opuści go z pewnością nawet w więzieniu...

Sztuka Szaniawskiego pozostawia głębokie wrażenie. Są w niej sceny o bardzo silnem napięciu dramatycznem; momenty, które po wyjściu z teatru długo jeszcze nurtować będą w duszy widza i niejednemu może przyniosą duże, pozytywne wartości.

Dekoracje w ciągu wszystkich trzech aktów bez zmiany. Nie zmniejsza to wcale wrażenia, przeciwnie, pozwala z większem skupieniem przeżywać rzeczy wielkie, jakie dzieją się w tych okopconych, omszałych ścianach starego zajazdu.

Gra artystów z dyr. Szpakiewiczem w roli głównej, daje prawdziwe zadowolenie.

Sądząc z tej sztuki, Wilno zdobyło doskonałe nowe siły artystyczne, w osobach pp. Suchećkiej i Sierskiej i Woskowskiego. Martyka potrafił bardzo wiele wydobyć z podrzędnej roli głupkowatego znajdy; niezrównany zwłaszcza był w drugim akcie — podczas szalonej przeprawy przewoźnika przez rzekę.

* * *

Drugą z kolei sztuką sezonu jest komedja Jules Romains'a p. t. „Triumf medycyny“. Jest to świetna satyra na szarlatanerję lekarską oraz głupotę i naiwną łatwowierność ludzką. Dużo jest tu szczerego, dobrego dowcipu, dużo humoru. Akcja bardzo uboga — cały komizm raczej zawiera się w sytuacjach. Akt I trochę nudny. Pomysły dekoracyjne — doskonałe, — do najlepszych należy podróż samochodem w I akcie i rewja chorych na obrotowej scenie, w ostatnim. Woskowski w roli głównej — sprytnego oszusta, jest świetny. Cały zresztą zespół jest b. zgrany.

Sztuka ma jedną wielką zaletę — jest wyjątkowo, jak na komedję współczesną, przyzwoita. Poza kilku niesmacznemi gestami Jasińskiej-Detkowskiej (przyjętemi zresztą przez publiczność hucznem brawem) i paru niezbyt udanemi żartami nie ma w sobie nic przykrego. *I nie jest przez to wcale mniej wesoła i dowcipna.*

L. Westfalewiczówna.

Snoby zachęcają snobów.

Jeżeli piszę o wystawie letniej w Zachęcie pod nazwą „Koń i żołnierz“ nie czynię tego dla snobizmu pisania recenzji malarskiej. Piszę nie dlatego, by warszawski czytelnik „Pax'u“ miał sprawozdania z rzeczy, które zna. Piszę dlatego, że *wspomniana wystawa jest oburzająca.*

Już same kryterjum konia i żołnierza ma sens niewielki z punktu widzenia malarskiego. Wystawa miała mieć charakter retrospektywny. Kątem widzenia był w niej jednak nie walor artystyczny, nie kierunek malarski, lecz temat. Dążenie organizatorów zupełnie wyraźne: jak najwięcej obrazów z końmi i żołnierzami. Na stronę artystyczną nie zwracano uwagi; nie zważano: kicz — nie kicz, lecz pytano: koń czy nie koń. O ile koń — nadaje się na wystawę.

Niema sensu pisać o wystawie szczegółowo — szkoda farby drukarskiej i cierpliwości czytelnika. Z punktu widzenia historycznego, zatrzymywało się przed Michałowskim, Orłowskim. Chełmońskiego mało — a któż inny u nas może być uważany za „specjalistę od koni“. Może Wojciech Kossak, którego ckliwizny są w tym zbiorze rzeczy słabych raczej pozycjami dodatniemi. Wogóle widać z wystawy zupełnie wyraźnie, że — jeśli chodzi o konie i żołnierzy — wleką się oni w malarstwie po utartych drogach. Gdzie się nie rzuci okiem— epigoni Chełmońskiego, Matejki, Brandta, Juljusza Kossaka. Nic nowego, a brak zalet, które widzimy u tamtych. Poziom nieraz trzeciej klasy gimnazjalnej — np. Żukowskiego „Przy saniach“, gdzie niema nietylko kompozycji i koloru, lecz poprawności. Jeśli się jest malarzem — realistą, trzeba mieć przynajmniej technikę. J. Rosen, J. Ryszkiewicz, C. Tański, Korolkiewicz i długi szereg innych, to ludzie, pozbawieni nietylko talentu, ale i smaku kulturalnego człowieka. A taki Mikołaj Wisznicki, malujący olbrzymie płótna, ordynarne w kolorze, bez żadnej myśli malarskiej! Skandal!

Wystawa mówi wyraźnie, że prądy malarskie, które Zachęta chce reprezentować, kończą się. Jakby załamał na tej wystawie ręce Stanisław Witkiewicz. Jak się cieszą z niej ci, którzy reprezentują sztukę, nazwaną przez Chwistka, sztuką wyobrażeniową. Wystawa nie daje widzowi nic pozytywnego. Pozostawia natomiast poczucie pustki i zniechęcenia. Świadczy wyraźnie o końcu, o śmierci — trupi zaduch wieje z sal Zachęty.

Ale jest jeszcze druga strona medalu: zaduchem tym oddycha społeczeństwo. Niemal każdy turysta, niemal każda wycieczka czuje się w obowiązku być w Zachęcie. Zachęta ma zachęcać. Tymczasem — zniechęca. Człowiek słyszy wciąż zdania o sztuce, o wrażeniach artystycznych, o pięknie zaklętem w malarstwie i inne tego rodzaju frazesy. W zachęcie nie ma ani wzniosłych wrażeń, ani znajduje piękna, bo go tam niema. Mimo to widz chodzi i ogląda, musi za swoje pieniądze, zapłacone za bilet, obejrzeć wszystko dokumentnie. I albo zniechęca się wogóle do malarstwa, przestaje wogóle wierzyć we „wrażenia artystyczne“, albo u d a j e, że go te rzeczy zajmują, szuka momentów treściowych, odchodzi od malarstwa coraz dalej, a równocześnie przybiera pozę „znawcy“. Kilka, czy kilkanaście takich wystaw może kogoś niedość krytycznego zwichnąć w pewnej dziedzinie jego życia duchowego.

Nie wierzę, aby wystawa „Koń i żołnierz“ mogła zrobić na kimkolwiek naprawdę silne wrażenie. Chyba wrażenie pustki. I wrażenie wielkiego napuszonego snobizmu.

Moja recenzja z wystawy cała się mieści w tytule tego sprawozdania.

P. S. Zachęta już odchodzi, jest w kulturze polskiej pozycją, która się skończyła. Jest instytucją, w której zupełnie nie czuć życia. Ilustracja: gdy Instytut Propagandy Sztuki zdobył się na wystawę międzynarodową drzeworytów na poziomie — dosłownie — światowym, Zachęta wystawia „Niezależnych“ z Wilna i „Rogate Serce“ — Szukalszczyków. A i te pozycje są w obecnym dorobku Zachęty pozycjami raczej dodatniemi. *Aga.*

Wydawca i Redaktor Leokadja Małunowiczówna ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie.